

# *CoSlychac*

DWUTYGODNIK STRESZCZEN

.. The.. Polish Fortnightly Digest



Nr. 5/157

7.4.1945

Rok. VI

9<sup>D</sup>

	Str.
1. DEFINICJA FLIRTU . . . . .	115
2. KRÓLIKI MOGĄ BYĆ NIEBEZPIECZNE . . . . .	117
3. LONDYN PRZYSZŁOŚCI . . . . .	121
4. NOTATKI Z POBYTU W ROSJI . . . . .	125
5. SWIECA WRÓŻEBNA . . . . .	133
6. GRECJA, JUGOSŁAWIA I POLSKA . . . . .	135
7. ROSJA I TURCJA A PRZYSZŁY POKÓJ . . . . .	139

OKŁADKA: Inny fragment z ołtarza Mariackiego w Krakowie.

### OD REDAKCJI

Zgodnie z zapowiedzią, umieszczoną w numerze ubiegłym, zaczynamy wydawać drukiem nasze piśmiśko. Pragniemy uniknąć podwyżki i utrzymać poprzednią cenę, niestety, deficyt byłby zbyt wielki i zbyt ciężki na barki jednego człowieka.

Dzisiejszy numer kosztuje więc 9d. Prosimy Czytelników a samorzutne przystanie różnicy, a tym którzy nie pamiętali o zapłacie, uprzejmie ten obowiązek przypominamy.

Jest możliwe, że w najbliższej przyszłości rozszerzymy nasze piśmiśko przez dodanie części, w której drukować będziemy artykuły publicystyczno-polityczne, pisane przez znanych polskich publicystów.

Związek Harcerstwa Polskiego w Londynie rozpoczął wydawanie cyklu broszur dla młodzieży i dla dzieci. Pierwsza broszura w opracowaniu M. L. Ponikowskiej już się ukazała na rynku. Możemy ją polecić do przeczytania nie tylko młodzieży. Każdy, kto ją przeczyta, dowie się o wielu rzeczach ciekawych i o takich, o których może już dawno zdolał zapomnieć.

Księgarnie "CO SŁYCHAC", 40 Bruntsfield Place, tel. 52396 oraz 2 Drumsheugh Place (obok West End'u), tel. 21712—polecają: książki, broszury i wszelkie wydawnictwa w języku polskim i angielskim.

Tamże do nabycia dzienniki, tygodniki i periodyki polskie. Orzełki, guziki, odznaki i wstążki.

Administracja dwutygodnika poleca "ŁATWY PODRĘCZNIK JĘZYKA ANGIELSGIEGO" w 20-tu Lekcjach. Cena 2/-. Przerobienie 20-tu lekcji daje dobre podstawy do dalszej nauki. Słówka podane z wymową. Ćwiczenia łatwe i dające się zastosować w codziennej konwersacji. Wysyłamy pojedyncze egzemplarze na zamówienie piśmienne.

CENA NUMERU 9d. PRENUMERATA POŁROCZNA 9/-.  
 REDAKCJA I ADMINISTRACJA  
 40 BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH 10. Tel. 52396.

---



---

## DEFINICJA FLIRTU

---



---

Mrs. Eleanor Farrant napisała w *Times Pictorial* bardzo interesujący artykuł p.t. „*Flirting is a Fine Art*“. Pani Farrant wygłasza takie zdanie na ten temat:

„Przyszłam do wniosku, że flirt jest piękną sztuką i mam nadzieję że potrafię tego dowieść. Przepuszczam również iż moje przyjaciółki, które przeczytają artykuł, dobrze się przedtem zastanowią nad zagadnieniem, zanim zechcą skreślić mnie z listy swych gości“.

Najszlachetniej perlący się i musujący szampan nie przewyższy towarzyskiego zebrania pań i panów, szukających wzajemnie chwili wytchnienia i niewinnej rozrywki. A jest tak dlatego, że uprawiają flirt.

Według encyklopedii flirtować znaczy „grać rolę zalotnika“, wydaje się jednak, że nie jest to wyczerpująca definicja. Zaloty wyrażają raczej fizyczny objaw płci, podczas gdy według mnie flirt, w najlepszym tego słowa znaczeniu, jest pewnego rodzaju grą słów, dowcipu i dobrych form.

Jest rodzajem sztuki o wyszukanym smaku. Jest sztuką ludzi o żywym umyśle. A przede wszystkim jest sztuką ludzi kulturalnych.

Zagadnienie płci jest jednym z cudów świata i chociaż tego nie wymyślił człowiek jak na przykład, wiszące ogrody Babilonu lub piramidy, jest ono przecież wieczne i powszechne. Istota płci leży w niepełności jednej strony, którą musi dopełniać strona druga i to zarówno w znaczeniu fizycznym, jak i duchowym. Gdziekolwiek obie płci są rozdzielone, tam umysł nie jest kompletny. Gdy więc spotykają się, występuje wówczas to umysłowe dopełnienie, w którego wyniku życie wydaje się pogodniejsze i lepsze.

Mężczyźni i kobiety udzielają sobie wzajemnie tej umysłowej żywości, jakby jakiej rzadkiej dobroczynnej trucizny. Istotnie miły flirt powoduje niezwykle miłe uczucie podniecenia.

Jest prawdziwą rozrywką obserwowanie towarzystwa panów i pań. Spotykamy dokoła roziskrzone oczy, dowcipy, wyzwania, błyszczący humor i łatwy śmiech — wreszcie nadchodzi ochłodzenie i pragnienie opuszczenia widowiska.

Panowie w większości cieszą się jak dzieci, gdy ich się posądza o flirt, lecz nie powoduje tego bynajmniej figlik płci. Wynika to jedynie z powodu, iż uważają się oni za zdolnych

do gry i do uprawiania szermierki, obojętne — na szpady, czy też słowa i są przy tym mniej skłonni od kobiet do wkładania w to całego swego ja, prowadząc dzięki temu grę bardziej wolną od uczuciowości.

Uczuciowość zabija flirt, lecz my kobiety wplatamy zbyt wiele uczucia w każde nasze obcowanie z ludźmi. Humor zajmuje we flircie poczesne miejsce, a przecież humor ma niewiele wspólnego z uczuciem.

Mężczyźni cenią wysoko humor, przypuszczalnie dlatego, że od wczesnych chłopięcych lat są zmuszeni tak przez tryb życia, jak i doświadczenie, do stykania się z surowszymi zjawiskami bytu. A poniekąd jest ogólną prawdą, że ludzie bardziej uderzeni przez los są tymi z pośród nas, którzy łatwiej doceniają zadowolenie, płynące z budzenia śmiechu.

W swojej najlepszej istocie flirt budzi poczucie swobody i nie należy tu rozumieć jedynie swobody etycznej. Flirt bowiem — w istocie rzeczy nie ma w sobie nic z władztwa, rywalizacji, czy też żywiołowych odruchów załotów. Kto wnosi te właśnie osobiste właściwości w dziedzinę flirtu, ten nie odczuwa jego głębokiego sensu.

Niejednokrotnie przychodzi nam na myśl, jak wiele małżeństw mogłoby żyć w pogodniejszej atmosferze i wolnych od ciężaru ponurych konwenansów, odpowiedzialności i przesytu, gdyby małżonkowie zechcieli uprzyjemnić sobie życie codziennie lekką domieszką flirtu.

Szkoda, że małżeństwa tak rzadko flirtują, a obawiam się, że wina tego leży raczej po stronie kobiet. Wiele z pośród nas uważa za zaletę, że są kobietami. Ale trzymamy się naszych sentymentów i trwamy w dążeniu, by jaskrawo uświadomić naszemu mężom ich obowiązki wobec nas.

We flircie nie ma miejsca na nietaktowne współzawodnictwo, docinki czy złościwości. Nie ma w nim miejsca dla kobiety, pragnącej wykazywać swoją wyższość wobec uniożonych mężczyzn.

Flirt jest naturalną dźwignią nastroju, zaostża dowcip i jest wogóle zjawiskiem cennym. Jest czymś szlachetnym i wyrozumiałym i ma swoją duszę, gdyż w czasie stylowego flirtu mężczyzna czuje się przystojniejszy i mądrzejszy, zaś niewiasta pełniejsza wdzięku i powabu, a oboje doskonale wiedzą, że flirt nie może im przynieść jakiegokolwiek szkody.

Widywałam pokryte zmarszczkami, starsze panie, flirtujące mistrzowsko ze starszymi i młodymi panami. Gdy star-

sza niewiasta prowadzi flirt, jest to zazwyczaj sztuką nielada, albowiem posiada ona doświadczony rozum, a przy tym zachowuje wiele młodzieńczego serca dla prowadzenia flirtu. Podobnie gdy prowadzą flirt wykwintni, starsi panowie. Rzucają wytworne i układne żarty, zachwyceni zadowoleniem swoich towarzyszy, uprzejmi w formach i pełni miłej subtelności. Są oni wówczas prawdziwymi artystami, jakby książętami pośród ludzi.

Możemy zostawić kobiety kobietom, a mężczyźn mężczyznom dla wymiany osobistych poufałości i szczerych wynurzeń. Skoro jednak chcemy się upewnić, że życie ma dobre strony i że na tym świecie spotykają nas stale zmiany, przeżycia i jaśniejsze chwile, odczuwamy wówczas potrzebę stania się ogniwem mieszanego zespołu i ukojenia nerwów w subtelnej sztuce flirtu.

Powinniśmy jednak pamiętać, że flirt nie powinien przerodzić się w przestarzałe, niemiłe lub przesadnie słodkie nadskakiwanie, czego możemy uniknąć przez częstą zmianę partnerów.

Każdy zdrowo myślący pan czy pani znajdzie się w swoim żywiole, obcując z odmienną partnerką, czy partnerem, zaś najlepszy nastrój rodzi się wśród uprzejmych powiedzeń, żartów i dobrych form, które można uważać za równoznaczne z flirtem.

Bądźmy przeto wszyscy naturalnie pogodni, prowadźmy zabawę według etycznych wymagań flirtu, a podniesiemy poziom towarzyskiego życia naszych czasów.

---



---

## KRÓLIKI MOGĄ BYĆ NIEBEZPIECZNE

---



---

Króliki straszliwie się rozmnożyły na tych wyspach i stanowią dzisiaj poważny problem dla brytyjskich rolników. Artykuł poniższy, napisany w *The Countryman* przez J. B. Thorburn bardzo ciekawie naświetla tę kwestię na tle pracy małego angielskiego farmera.

Według mego zdania (nie posiadałem jeszcze wielkiego doświadczenia), farma wyglądała okazale. Niemal połowa jej gruntów leżała na płaskim pagórku, zaś reszta opadała stopniowo ku niewielkiej dolince, obejmując piękny, stary sad, pełen jabłoni, obramowany ładnymi drzewami, jako żywopłotem, oraz akr zagajnika — bajkowy obraz pier-

wiosnków i niebieskich dzwoneczków na wiosnę. Farma wyglądała tak wdzięcznie — że nie przyszły mi nawet na myśl króliki.

Objąłem ją w początkach maja i zakupiłem nieco trzody, aby wypasć trawę, której wzejścia oczekiwałem. Trawa poszła doskonale, lecz trzoda moja nie wiele jednak jej widziała, gdyż króliki odnalazły ją pierwsze. Przypadkowy znajomy rzekł mi „pozastawiaj ją nie pułapki“. Odpowiedziałem, „To zbyt okrutne“. Kupiłem za to strzelbę i od pierwszego strzału położyłem trzy małe króliki, po czym pudłowałem, zabijając jednego na tydzień. Przy takim rezultacie naboje okazały się zbyt drogie, to też zakupiłem parę łasic i siatkowych worków. Schwytałem nieco królików, było to jednak tylko marnowanie czasu. A tymczasem króliki się rozmnażały. Wiosenna młodzież już w połowie lata sama wydawała młode pokolenie. Obchodząc pola cichym wieczorem, można było zobaczyć ich setki, umykających ku ścianom żywopłotów.

Z rozpaczy zwróciłem się o radę do zawodowego specjalisty od łapania królików... Ten mi rzekł „Dlaczego nie sprzeda mi pan swoich królików? Usunę je“. Obszedłszy dookoła farmę z jednym ze swoich pomocników, powrócił do wrót z propozycją, „Zapłacę panu za nich 70 szylingów“. Odrzekłem: „Czy to ma być wszystko za wykarmienie dla pana tysiąca królików“ i odprawiłem go z niczym.

Mój znajomy mi poradził: „Słuchaj!“ Lepiej zostaw te pieniądze dla nas, będziemy je sami łapać. Jedna sztuka jest warta gd.“. Przełamawszy wszelkie skrupuły zakupiłem pięćdziesiąt stalowych pułapek, on zaś je porozstawiał. Było jednak przy tym wiele zawodów, o których nie pomyślał. Wyniki były nikłe i zacząłem wątpić w skutek.

Z nadejściem zimy króliki same zniknęły. Jeśliby ich nie wyłapali, to może jednak zostały wypłoszone. Aż tu następnego lata pojawiły się znowu, tylko liczniejsze niż przedtem. Działo się to wszystko przed wojną, kiedy te króliki jedzono tylko w miesiącach posiadających w swej nazwie literę „r“.

Zawodowcy nie chcą ich łapać w czasie od maja do sierpnia, wobec nikłego na nie w tym czasie popytu. Poszedłem więc do łapacza królików mówiąc. „Nie chciałem panu sprzedać zeszłej zimy królików za 70 sh. Ale obecnie ofiarowuję je panu darmo, byle tylko zostały wyłapanane“. Jeden

z jego ludzi ofiarował się poświęcić trochę swego wolnego czasu. Pracując w soboty popołudniu i w niedziele złapał przeszło 200 królików. Pracował tak przez następne pięć week-end'ów. Porzucił jednak pracę. Widocznie mu się ona nie opłacała.

Według przybliżonego obliczenia — tysiąc królików złapano, ale drugi tysiąc pozostał i to na trzydziestu akrach. Dwa tysiące podzielone przez trzydzieści daje sześćdziesiąt sześć na akr. Z czegoż mogą one wyżywić się? Nic dziwnego, że kotne królice stale wdrapowały się na żywopłoty, szukając jakiejś strawy. Mistrz polowań zaprosił mnie pewnej niedzieli na obiad. Rozmowa zeszła na sprawy rolnicze. Zapomniawszy o otoczeniu odezwałem się: „Króliki są prawdziwym przekleństwem, chciałbym żeby je można było zupełnie wytepić“. Ktoś przerwał męczącą ciszę, jaka po tej uwadze zapanowała, pytaniem: „Czyż mogłoby istnieć polowanie, gdyby nie było królików?“

Po wybuchu wojny, sąsiad mój zauważył: „Teraz jest jedyna pora pozbycia się królików. Gdy zabraknie rąk do pracy, znajdzie się dość amatorów na króliki“. Zapomniał jednak o kontroli cen, wprowadzonych celem obniżenia kosztów utrzymania.

Zaoraliśmy cały równy obszar gruntów, jedenaście akrów i staraliśmy się zabezpieczyć zasiewy przez ogrodzenie ich siatką drucianą. Nie zgodziłem się na wynajęcie komukolwiek prawa łapania królików w obawie przed metodami zawodowych łapaczy, którzy zwykli uważać odnośny grunt jako jedynie teren eksploatacyjny ich popłatnego interesu. Wzajemnie za to dopuściłem do polowań zapalonych miłośników i sam zaopatrzyłem się w pułapki, sidła i łasice. Gdybym znajdował się na wyspie, dałoby to być może jakiś rezultat, ale cztery inne sąsiadujące ze mną farmy dostarczały stale uzupełnień, wyrównywujących straty.

Zwróciłem się do odnośnych władz z prośbą o zastosowanie gazów, spodziewając się, że skoro urząd stwierdzi wielkość szkód wyrządzonych przez króliki, zarządzi wytepienie ich w całej okolicy. Jednak urzędnik oświadczył mi, że ministerstwo żywienia popiera łapanie królików, gdzie to jest tylko możliwe, by w ten sposób dopełnić racje mięsa i przysłał mi doświadczonego łapacza, który w ciągu dziesięciu dni potrafił złowić siedemset królików. Wyłapał ich

również sporo na terenach sąsiednich farm, a doskonała trawa jaka po tym wyrosła dla krów, była najlepszym dowodem, jakie szkody czyniły w niej króliki. Ale króliki pozostały nadal. Zagadnienie zostało nierozwiązane.

Wyłapywanie co jakiś czas królików może co prawda obniżyć ich mnożenie się, jednak nigdy ich nie wytępi. Królik jest rozumnym zwierzętkiem, dostatecznie sprytnym do opuszczenia obszaru, na którym odbywa się łapanka, by znowu powrócić, skoro łapacze odejdą. Żelazne łapki, okrutna broń królików niszczy jednak równocześnie i ich najgroźniejszego wroga, jakim są gronostaje i łasice, które zapędzone za swoim łupem, wpadają w zaślepieniu w pułapki, przygotowane dla ich ofiar.

Pojedynczy farmerzy są bezradni, to też większość z nich poprzestaje na nieuniknionej konieczności dzierzawienia prawa łapania królików, lub też na łapaniu ich we własnym zakresie, starając się choć częściowo odnieść korzyść z dzikich królików za szkody, jakie one im wyrządzają. Dla wielu synów farmerów są jedynym źródłem, z którego czerpią kieszonkowe pieniądze, ale farma ostatecznie jednak cierpi na tym. Królik wyrządza większe jeszcze szkody przez zanieczyszczenie terenu pod uprawy a ryjąc przy tym ziemię, przygotowuje doskonałe podłoże dla chwastów. Każda farma, nawiedzona przez króliki staje się szybko ugorem, pełnym nieużytecznych zielsk.

W początkach wojny parlament upoważnił urzędy rolnicze do przymusowego tępienia królików, gdy zagrażają wytwarzaniu środków spożywczych. Jednak uprawnienia te są w praktyce trudne do zastosowania, z powodu bierności ze strony farmerów i właścicieli ziemskich, jak również braku rąk roboczych. Tam gdzie podjęto rozumne kroki dla zahamowania plagi królików, nie spotkano się zazwyczaj z urzędowymi przeszkodami. Funkcjonariusze do walki z zarazami rolnymi nic nie pomogą, gdy sędzić będą swoje wyniki według ilości złapanej zwierzyny.

Absolutne wytępienie królików jest trudne, gdyż nawet ostatnia ich para potrafi w przeciągu jednego roku rozmnożyć się do setki.

Gdyby dzikie zwierzęta, jak lew, czy tygrys krążyły po okolicy zagrażając życiu ludności, niedługim byłby ich żywot.



---

---

Królik jest zwierzęciem dzikim i być może nawet nie rodzimym. Nazywano go łupieżczym najeźdźcą z Europy, a chociaż jego niebezpieczeństwo nie jest bezpośrednio, jest on groźny, gdyż niszczy zasoby żywności — a przede wszystkim mleko i jarzyny.

Dla wytopienia go nieodzwonne są surowe metody. Każdy właściciel ziemski, czy farmer jest w teorii karany, jeśli daje schronienie królikom na swoich obszarach. Lecz ponadto powinien być również karany każdy, kto przyrządza lub spożywa dzikie króliki (po upływie pewnego stosownego okresu, koniecznego dla zużycia istniejącej ich ilości), albowiem jak długo jest dozwolone ciągnąć zyski z królików, będą one stale istniały. Gdyby je uznano za szkodliwe, niszczyielskie szkodniki, a nie za środek pożywienia, znalazłyby się szybko sposoby do ich zupełnego wytopienia. Koniec królika przyniosłby natychmiastowy wzrost tak rodzimej wytwórczości produktów żywnościowych jak i lepszej uprawy roli.

---

---

## LONDYN PRYSZŁOŚCI

---

---

*Daily Express* w jednym ze swych wydań wydrukował bardzo ciekawy opis projektu przebudowy Wielkiego Londynu i najbliższych jego okolic, z zastosowaniem ostatnich zdobyczy technicznych, oraz wykorzystaniem terenów, oczyszczonych z powodu bombardowania w czasie tej wojny.

Projekt ten jest zakrojony na gigantyczną skalę, można jednak być pewnym, że zostanie w ciągu 10 lat powojennych wprowadzony w życie.

Został ogłoszony ostatnio dziesięcioletni plan, obejmujący projekt nowego Londynu, a przewidujący przeniesienie z miasta na prowincję jednej dziesiątej części jego mieszkańców.

W ciągu dwóch ubiegłych lat, kiedy bomby niemieckie siały zniszczenie w stolicy imperium, specjaliści od rozbudowy miast pod kierunkiem profesora Uniwersytetu Londyńskiego Patryka Abercrombie, tworzyli podwaliny metropolii przyszłości.

W sprawozdaniach ich, ogłoszonych drukiem, bogatych w pomysły a matematycznie ścisłych, takie są przedstawione wnioski:

Mają ulec zniesieniu zaułki i dzielnice przeludnione, przez przeniesienie 1.033.000 mieszkańców Londynu z ogólnej ich liczby 10.250.000, do przyległych miast, rozmieszczonych w kształcie pasa willowego w promieniu trzydziestu mil od city.

Ma powstać wolne od dymu miasto, o czystym, jak na wsi powietrzu. Istniejące zakłady przemysłowe będą zachęcane do przeniesienia się. Poza wyjątkowymi wypadkami, nie wolno odtąd będzie zakładać w obrębie tej strefy żadnych nowych fabryk.

Wszystkie linie kolejowe zostaną w granicach tego obszaru zelektryfikowane, a wszelkie węglowe parowozy zostaną stamtąd wyeliminowane.

System komunikacji kolejowej, drogowej i powietrznej ulegnie tak wielkiej reorganizacji, że dostęp do Londynu będzie tak samo łatwy, jak do każdego przeciętnej wielkości miasta, zarówno dla podróżujących w obrębie granic miasta, jak i dla przybywających ze wszystkich krańców świata.

Odpadnie marnowanie czasu na dojazdy do portów lotniczych, a co najbardziej zadziwiające, nie będzie przeludnienia na kolejkach podziemnych.

Dookoła Londynu powstanie pierścień portów lotniczych, a wśród nich jeden transoceaniczny w kształcie półkola w Heathrow, w odległości 12 mil od stacji Victoria. Powiąże te porty ze śródmieściem sieć szybkich elektrycznych ekspresów i oddzielnych autostrad.

Cały transport powietrzny, z wyjątkiem helikopterów i pokrewnej konstrukcji samolotów, znajdzie się nazewnątrz obszaru Londynu.

Wokół przedmieść będzie troskliwie utrzymywany pas zieleni dla celów wypoczynkowych o pięciomilowej szerokości, a wprowadzanie się ludności w obręb tego pierścienia będzie ściśle kontrolowane.

Z polecenia stałej Komisji Planowania Okolic Londynu sprawozdanie to przedłożono ministerstwu Rozbudowy Kraju i Miast, a następnie przeszło ono przez 143 miejscowych urzędów, zainteresowanych w zainicjowanych zmianach, które je rozpatrzyły i poczyniły odpowiednie poprawki.

Najśmielszą częścią planu jest projekt masowej ewakuacji ludności z przepełnionych części Londynu do mniej zatłoczonych zewnętrznych obszarów.

Projektuje się w tym celu zachęcenie zakładów przemysłowych

wych do przeniesienia się nazewnątrz obecnych granic Wielkiego Londynu, a nowe nie będą mogły tam powstawać, chyba w udowodnionych i niezbicie niezbędných przypadkach.

Domy handlowe są pomyślane, jako potężne ośrodki, dostosowane do rozmaitych rodzajów wytwórczości, według z góry ustalonych rozplanowań.

Według sprawozdania akcja ewakuacyjna ma objąć 1.730 fabryk zatrudniających 258.000 pracowników.

„Przemysłowcy chętnie godzą się na przesiedlenie. Pracownicy natomiast uzależniają swą zgodę na przeniesienie się od przygotowania dla nich zawczasu domów, możliwych do wynajęcia, względnie zakupienia“, stwierdza sprawozdanie podkreślając zarazem że „z wyjątkiem Welvin i Letchworth oraz rozbudowy jednej lub dwóch dzielnic robotniczych w okolicy węzłów kolejowych, nie stwierdzono do tej chwili żadnego planowego wysiłku w kierunku rozwiązania zagadnienia mieszkaniowego i rozmieszczenia obiektów przemysłowych na obszarze Wielkiego Londynu.

Zgodnie z projektem największa część ewakuowanej ludności Londynu ma być rozmieszczona w ośmiu siostrzanych miastach, jakie mają powstać na obszarze, nazwanym „Zewnętrznym Pierścieniem Willowym“, otaczającym obecny Zielony Pas.

Granice ich znajdują się dokładnie w promieniu trzydziestu mil od centrum miasta, sięgając ku północy aż do Royston, a na południe do Haslemere.

Te „satelitowe miasta“ o cyfrze mieszkańców, nie przekraczającej 60.000, łącznie z istniejącymi już na „pierścieniu“ miastami, mają według planu wchłonąć większość przeludnienia.

Siostrzane miasta posiadać będą własne kościoły, szkoły, kina, ośrodki dla życia towarzyskiego i rozrywek, muszą jednak, co podkreśla sprawozdanie, zachować ścisły związek z Londynem, a dogodny dostęp do metropolii jest warunkiem koniecznym.

Położono duży nacisk na zachowanie istniejących obecnie obszarów uprawnych, otwartych przestrzeni rozrywkowych oraz niezaspękanie krajobrazu i to tak w obrębie Zielonego Pasa, jak i Zewnętrznego Pierścienia Willowego. Wszystkie

reklamowe płoty ulegną zniesieniu.

Dla rolnictwa i ogrodnictwa postanowiono zachować najżyźniejsze odcinki dla uprawy.

Sprawozdanie potępia budowanie pod sznurek i planowanie kawałkami i występuje nie tylko przeciw spekulantom, ale zaleca również zarzucenie budowy bloków obszernych, oraz niepowiązanych budynków mieszkalnych, biegnących daleko na wszystkie strony wokół Londynu.

Ubolewa ono nad rozległymi obszarami rozrzuconych domków, wznoszonych przez miejscowe władze... ogromnych bloków mieszkalnych, stawianych przez przedsiębiorców prywatnych... chaotycznie rozmieszczanych zakładów handlowych czy też majątków przemysłowych, jakoteż i udosobnionych fabryk, wynurzających się z morza podmiejskich domów.

Planujący wypracowali jednocześnie plan komunikacyjny dla nowego Londynu, równie śmiały i szczegółowy w pomysłach jak i całość tej wizji. Projektują oni ogromną sieć pajęczą głównych i mniejszych arterii oraz bulwarów, rozchodzących się promieniowo z centrum miasta do wszystkich punktów na jego obwodzie i jako bardziej celowe i ekonomiczniejsze rozwiązanie zagadnienia komunikacyjnego, aniżeli poszerzanie istniejących arterii.

Planują oni dziesięć autostrad o tunelowo-wiaduktowych skrzyżowaniach, biegnących również promieniowo i umożliwiających bezpośredni ruch, łączący Londyn z najważniejszymi głównymi szosami kraju.

Autostrady te połączone będą z dziesięciu lotniskami, które mają powstać dookoła Londynu w odstępach od dziesięciu do dwudziestu ośmiu mil. Główne lotnisko w Heathrow będzie mogło utrzymać daleko dystansowy ruch ze wszystkimi częściami świata. Pozostałe lotniska służyć będą dla ruchu międzykontynentalnego, na kontynent europejski i do wewnątrz wyspy.

Projektowany rozwój kolei obejmuje elektryfikację wszystkich linii kolejowych w obrębie wielkiego Londynu, posiadających dotychczas trakcję parową, zniesienie stacji towarowych w okręgach przeludnionych i budowę nowych linii łącznikowych pomiędzy City i przyległymi miastami.

Przewidziano wystarczające ilości zakładów użyteczności publicznej, elektryczności, gazu i wody dla projektowanych nowych gmin, z tym jednak, że mogą one współpracować

lub łączyć się w razie potrzeby, tak ze względów ekonomicznych jak i wydajności.

Projekt wysuwa również daleko idące propozycje odnośnie systemu kanałów na tym obszarze, przewidując w najważniejszych ich punktach rozmieszczenie składów rozdzielczych wraz z odpowiednią ilością magazynów i urządzeń ładunkowych.

Przestrzeń objęta projektem wynosi około 2.599 mil kwadratowych, a zasadniczą myślą przewodnią jest zmniejszenie gęstości zaludnienia do najwyżej 100-136 osób na jeden akr.

Ileż wynieść mają koszty urzeczywistnienia powyższego planu i ile to pochłonie czasu?

Projekt stwierdza, że ogólne koszty mogą być podane jedynie w przybliżeniu, dodając że „tym którzy stawiają pytanie, czy jesteśmy w stanie ten plan urzeczywistnić, jedyną właściwą odpowiedzią będzie pytanie: czy bez wykonania tego planu możemy wogóle istnieć? Któż jest w stanie określić koszty zmęczenia, utraty zdrowia i braku możliwości wytchnienia, czego uniknie się z chwilą wprowadzenia w życie zaleceń projektu“.

Prace budowlane nad rozszerzeniem istniejących miast i wybudowaniem nowych, mających na celu bardziej właściwe rozmieszczenie ludności, oblicza się na okres dziesięciu lat.

---

---

## NOTATKI Z POBYTU W ROSJI

---

---

*d.c.*

Fabryka zapchana jest najlepszego gatunku amerykańskimi urządzeniami, nie widać w niej jednak organizacji. Betonowe podłogi pełne są dziur. Wszędzie widać stopy metalowych opiłków. Nikt nie myśli o ich uprzątnięciu. Dziewczeta wożą na taczkach stopy niewykończonych części, które rozsypują się na ziemię, ile razy taczka trafi na dziurę w podłodze. Dziewczeta muszą się zatrzymywać i je zbierać.

Podłoga ta mogłaby być z łatwością doprowadzona do porządku za cenę kosztu jednego z automatycznych świdrów amerykańskich, których jest tutaj pełno. Podniosłoby to wydajność pracy w fabryce przynajmniej o 25%.

Bezwzględny amerykański przemysłowiec, usiłując wycisnąć wszystko, co się da ze swoich robotników, zapewniłby im przede wszystkim wszelkie możliwe wygody, począwszy od

dobrego oświetlenia i czystych podłóg.

Tutaj uważa się widocznie, że wobec faktu istnienia w Rosji dwustu milionów ludności, niewygody znoszone przez garstkę robotników fabrycznych są zupełnie bez znaczenia.

Po skończonej inspekcji fabryki, oczekiwał nas w dyrektorskiej jadalni wymyślny bankiet. Za stołem, zastawionym oczywiście szeregiem kieliszków do białego i czerwonego wina, szampana, spostrzegłem znajomą twarz maître d'hotel'a z bankietu w sali Czajkowskiego.

Jak się okazało później ta usłużnie uśmiechnięta figura miała nas prześladować, jak zmora, wszędzie, gdzie się tylko pokazaliśmy. Był to bowiem naczelný dostawca Inturista i byliśmy skazani na spotkanie go na wszystkich przyjęciach, czy był to bankiet fabryczny, czy kolejowy, czy też piknik, zorganizowany w pobliżu opuszczonych niemieckich okopów, na przesmyku Karelskim.

W czasie bankietu, Johnston rozpytywał się o sposoby wykonywania przez fabrykę projektów technicznych, o plany na okres pokojowej produkcji, o przewidywaną wysokość tej produkcji, oraz o ceny, po których fabryka zamierza sprzedawać swe wyroby po wojnie. Ani dyrektor, ani jego pomocnicy nie byli w możności na te pytania odpowiedzieć, gdyż zupełnie się w tych sprawach nie orientowali. Do nich należała tylko organizacja produkcji. Planowanie jest skoncentrowane na Kremlu.

Grono osób siedzących z nami przy stole składało się młodych ludzi, którzy za czasów rewolucji 1917 roku byli małymi dziećmi.

Podróśli, wstąpili oni wszyscy do partii komunistycznej, zapewnia im ona bowiem wpływy, władzę i bogactwo.

Następnego ranka zawiózł nas Kiryłow do fabryki, wyrabiającej sowieckie samochody.

W Ameryce tuzin wielkich towarzystw produkuje setki typów samochodów. W rosyjskim bezklasowym społeczeństwie jedno towarzystwo produkuje jeden tylko typ i całą jego produkcja przeznaczona jest wyłącznie dla uprzywilejowanej klasy czołowych komunistów, dyrektorów fabryk i dygnitarzy państwowych.

Samochód przypomina karetkę Oakland typu 1935 i wykonany jest niechlujnie.

Nazwa jego „ZIS“ stanowi kombinację pierwszych liter trzech słów rosyjskich „zakład imienia Stalina“. Resory wozu nie wytrzymują jego ciężaru. Przy najbliższym wstrząsie, podstawa osoby, siedzącej na tylnym siedzeniu zderza się gwałtownie poprzez cienkie poduszki z tylnią osią samochodu.

Substancja łącząca warstwy nietłukącego się szkła w szwach zdradza tendencję do rozklejania się, co powoduje ich matowienie. Motor jednak i gumy, jeżeli pominąć zdarzające się kłopoty ze starterem, zdają się zasługiwać na zaufanie. Zawsze bowiem dowoziły nas na miejsce przeznaczenia i odwoziły bezpiecznie do domu.

Na zapytanie Johnstona, jak dyrekcja radzi sobie z absenteizmem, dyrektor również nie umiał odpowiedzieć, chociaż z innych powodów.

Nie tylko że nie rozumiał o co chodzi, ale nawet nie znał słowa „absenteizm“. Kiedy wytłumaczyliśmy mu o co nam chodzi, oświadczył, że zjawisko to jest tutaj nieznanne. Wobec leniwych lub spóźniających się robotników stosuje się nagany, ogłaszane w gazetkach ściennych, lub ustnie na publicznych zebraniach. Jeżeli to się powtarza dwu lub trzykrotnie, sprawę bierze w swe ręce związek. Domyślamy się, że jest to dość ponura procedura.

W każdym razie opuszczenie pracy wydaje się być tu zjawiskiem tak rzadkim, jak dajmy na to w domu poprawczym w Atlancie i przypuszczać należy, że dla tych samych powodów.

Nasze kapitalistyczne mózgownice mogą z trudem zrozumieć fakt, że w socjalistycznym państwie fabryki są podobno własnością robotników, lecz z pewnością robotnicy są własnością fabryk. Bez fabryki nie miałby robotnik rosyjski co jeść i gdzie spać.

Po zwiedzeniu zakładu wróciliśmy znowu do gabinetu dyrektora, gdzie nienasycony w swej ciekawości Johnston poruszył sprawę dobrowolnych ofiar robotników fabrycznych na wojnę, dodając, że w Ameryce osiąga ją one często dziesięć procent poborów robotnika.

Usłyszeliśmy na to dumną odpowiedź, że robotnicy sowieccy dają niejednokrotnie swoje pełne dwu a nawet i trzymiesięczne pobory.

Przyszło nam na myśl w związku z tym, że nie jest to znowu coś tak nadzwyczajnego, jeżeli chodzi o panujące w Rosji

stosunki, gdzie robotnik, po zakupieniu swej racji żywnościowej, nie ma absolutnie żadnych możliwości do wydania pieniędzy.

Następnego dnia zwiedzaliśmy fabrykę motorów dla bombowców nurkujących.

Wzmianka Johnstona, że posiada fabrykę w Ameryce, wzbudza wśród oprowadzających nas urzędników fabrycznych wielkie zaciekawienie. Zainteresowała ich przede wszystkim kwestia systemu płac robotniczych w Ameryce. Wiadomość, że robotnicy płacni tam są za godziny, nie znalazła u nich uznania, a wyjaśnienie, że system ten został przyjęty na życzenie związków zawodowych, wprowadziło ich w zdumienie. Są oni zbyt młodzi, ażeby wiedzieć, że w okresie od roku 1917 do 1934 system płac akordowych uznany był w Rosji za chytry pomysł, obliczony na wyzysk robotników. Później, kiedy został on z wielką pompą przyjęty w Rosji pod nazwą „systemu Stachanowskiego”, ogłoszono go za wynalazek socjalistyczny, nieznanym w świecie kapitalistycznym.

Dostarczone przez Johnstona dane o przeciętnej wysokości płac robotników amerykańskich wzbudziły u naszych gospodarzy widoczne niedowierzanie.

Zainteresowała ich również zagadnienie, jakim sposobem mała fabryka elektryczna Johnstona może konkurować z takim kolosem, jak General Electric. Johnston wyjaśnił, że jak doświadczenie nauczyło, wydajność fabryki zmniejsza się po przekroczeniu przez nią pewnych rozmiarów. Spojrzenia, jakie słuchacze pomiędzy sobą zamienili wskazywały, że podziwiają to zapatrywanie.

Wykład Johnstona na temat wad i zalet wielkich i mniejszych przedsiębiorstw przemysłowych, który słuchany był ze zwiększoną uwagą, przerwany został w sposób zupełnie niespodziewany. W chwili, kiedy młody dyrektor fabryki otworzył usta, w zamiarze zadania jakiegoś pytania, podniósł się z krzesła towarzyszący nam wszędzie urzędnik N.K.W.D. i twardo położył rękę na jego ramieniu. Konferencja została natychmiast przerwana i udaliśmy się na zwiedzanie fabryki.

Zdarzyło się to nam po raz pierwszy. Możliwe, że czas przeznaczony na pobyt w fabryce był ograniczony. Możliwe jednak, że N.K.W.D. który decyduje, co wolno jest Rosjanom wiedzieć, nie był zadowolony z tego nieocenzurowane-



go wykładu o stosunkach, panujących w przemyśle amerykańskim, aczkolwiek był on wygłaszany przez tak honorowego gościa jak Johnston.

Zaglądamy do jadalni robotniczej. Obiad składa się z kawy, czarnego chleba i barszczu, wygląda to smacznie i pożywnie. Majstrowie jedzą to samo z dodatkiem prasowanego kawioru. Inżynierom przysługuje menu majstrów z tą różnicą, że prócz czarnego chleba dostają i biały, oraz dużą porcję masła i świeży kawior, zamiast prasowanego. Jadłospis dyrektorski wygląda inaczej. Składają się na nie: wódka, białe i czerwone wina, szampan, kawior, masło, wędzony jesiotr, solone ogórki, kwaszona kapusta, zimne mięsiwa, salsami, wędzony ozór, ciastka i tort czekoladowy.

Dowiedzieliśmy się później (choć nie od naszych gospodarzy), że kastowość, jaką stwierdziliśmy w jadalniach tej fabryki, występuje we wszystkich fabrykach na terenie całej Rosji. Personel biurowy i inżynierski fabryk rosyjskich jest olbrzymi. Z chwilą jednak, gdy jakiś pracownik zostaje inżynierem, nie wolno mu jest pod groźbą utraty prestiżu, zniżać się do poziomu robotnika.

Powszechnie przyjęte w Ameryce noszenie przez inżynierów przy pracy robotniczych kombinezonów, przykładowe pouczenie robotników, jak ta czy inna rzecz powinna być wykonana, względnie wspólne z robotnikami wyszukiwanie i usuwanie przyczyn złego funkcjonowania jakiejś maszyny, jednym słowem wszystko to, co socjalnie zbliża inżyniera do robotnika, w Rosji uważane jest za przestępstwo kastowe.

Dwadzieścia pięć lat rewolucyjnej przebudowy Rosji nie wiele zdziałały pod tym względem i nowa socjalistyczna biurokracja sowiecka jest nie mniej kastowa, niż jej poprzedniczka z okresu przedrewolucyjnego.

Poznając Rosję, zacząłem powoli rozumieć ten kraj i jego mieszkańców.

Przypuśćmy, że ktoś się urodził i spędził całe swe życie we względnie niezłe prowadzonym domu poprawczym, ciężko pracując i otrzymując wzamian tapczan do spania, trzy posiłki dziennie i ubranie chroniące przed chłodem.

Przypuśćmy dalej, że mury tego domu pokryte są plakatami, głoszącymi, że tylko wewnątrz ich znaleźć można wolność i sprawiedliwość, że poza nimi panuje chaos, strajki, niepewność, bezrobocie i wyzysk robotnika, że straż domu istnieje tylko po to, żeby chronić jego mieszkańców przed złością świata zewnętrznego.

Oczywiście, że każdy, ktoby usiłował wypuścić takiego człowieka na swobodę, byłby uważany przez niego za osobistego wroga, którego trzeba za wszelką cenę unieszkodliwić.

Pomiędzy jednak obywatelami Związku Sowieckiego i dajmy na to rządowego domu poprawczego w Lansing (Kansas), istnieje pewna zasadnicza różnica. Żywność i odzież i tu i tam są mniej więcej jednakowe, aczkolwiek w Lansing może trochę lepsze. A niechby jednak któryś z mieszkańców Lansing zaczął krytykować, że dom poprawczy nie jest dobrze prowadzony i wyrażał nadzieję na możliwość zmiany strażników, nie groziłaby mu za to kara śmierci. Opinia publiczna w Rosji jest posłusznym instrumentem w rękach rządu, który gra na niej z nieporównanym mistrzostwem. Weźmy dla przykładu reakcję społeczeństwa rosyjskiego na wiadomość o konferencji teherańskiej. Otóż została ona przyjęta wybuchami szalonej radości. Nakoniec Stalin, Churchill i Roosevelt zasiedli do wspólnego stołu. Sowiecka Rosja ma potężnych sprzymierzeńców, którym może ufać! Nie jest już ona więcej pariasem świata.

Biurokracja też się cieszyła, jednak bez wybuchu czułości w stosunku do Zachodu. Jako specjaliści w rządzeniu zbiorową duszą narodu, nie dowierzają oni emocjom, nie przez nich samych rozbudzonym, które mogą wymknąć się z pod ich kontroli. Przypuśćmy dla przykładu, że Związek Sowiecki uzna ostatecznie za potrzebne zwrócić się przeciwko swym sprzymierzeńcom?

Napisali więc w „Prawdzie“ historyjkę, pochodzącą niby od korespondenta w Kairze (aczkolwiek cenzura tamtejsza nic o niej nie wiedziała), stwierdzającą że Brytyjczycy prowadzą układy z wysokimi dygnitarzami niemieckimi o zawarciu osobnego pokoju z Rzeszą. Wiadomość ta, oczywiście, nie została powtórzona w żadnym z licznych programów radiowych Moskwy, przeznaczona była wyłącznie na wewnętrzny użytek.

Historia ta wywołała na Zachodzie wybuch pełnych oburzenia zaprzeczeń i rząd sowiecki umieścił łaskawie niektóre z nich w „Prawdzie“. Cel jednak został osiągnięty. Zaufanie ludności rosyjskiej do aliantów ostudzone do punktu, umożliwiającego w razie potrzeby całkowite przedstawienie opinii publicznej.

Na razie jeszcze potrzeba taka nie zaistniała. Jednak władcy sowieccy posiadają znowu swobodę poruszania się w dowolnym kierunku z zapewnieniem całkowitego poparcia swego narodu.

Rosyjska prasa i kina podają bardzo niewiele wiadomości ze świata i nigdy nic takiego co by mogło wywołać niezadowolenie z rządów partii lub też z poziomu życia w Związku Sowieckim. Nie zawsze się to oczywiście udaje. Zdarzyło się, na przykład, że w jednym z moskiewskich kin, wyspecjalizowanym w scenach ze strajków i innych zaburzeń, mających miejsce w zachodnich państwach, wyświetlano zaburzenia rasowe w Detroit, ze specjalnym uwzględnieniem wypadków bicia negrów przez białych. Wrażenie, jakie jedno z takich zdjęć wywarło na widownię, było piorunujące. Kilku Rosjan wstało wołając: „patrzcie co za wspaniałe obuwie ma ten negr“.

Wszystkie narody mają tendencję do chwalenia się swymi własnymi wyczynami wojennymi i odsuwania na drugi plan zwycięstw swych sprzymierzeńców. Ameryka nie stanowi w tym wypadku wyjątku. A jednak amerykańskie pisma i prasa poświęcają sporo miejsca opisom postępów wojsk sowieckich, zaopatrując je w mapy i ilustracje.

Związek Sowiecki natomiast nigdy prawie nie wyświetla w swych ludowych kinach scen z obcych frontów wojennych. Zdjęcia filmowe z inwazji Normandii, które Ameryka wysłała do Moskwy natychmiast po jej rozpoczęciu, wyświetlone zostały tylko dla inteligencji i wyższych wojskowych, których mogły zainteresować z punktu widzenia fachowego. Nic nie dano również w kinach sowieckich o kampanii Libijskiej, lądowaniach w Północnej Afryce, kampaniach Tuniskiej, Sycylijskiej i Włoskiej, oraz o wojnie morskiej na Pacyfiku i Atlantyku.

Ze wszystkimi tymi wydarzeniami załatwiono się paru wierszami w „Prawdzie“ i „Izwiestiach“.

W rocznicę wzajemnej pomocy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i W. Brytanią, Mołotow wydał oficjalny bankiet na cześć ambasadorów obu państw, na który zostaliśmy zaproszeni. Za sąsiada przy stole miałem urzędnika sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych. Zauważywszy przy nakryciu niebywałą ilość łyżek, noży i widelców różnego rodzaju, zażartowałem sobie, że jestem przerażony, nie wiem bowiem w jakiej kolejności mam je używać.

Sąsiad mój przyjął to zupełnie poważnie i wyjaśnił mi, że „w Związku Sowieckim stosuje się system angielski, to znaczy, zaczyna się od zewnętrznej strony“ i zademonstrował to na przykładzie. Rosjanie są niesłychani formalści. Mogą oni być wolni od grzechu używania papieru toaletowego, ale wszystkie ich oficjalne wystąpienia muszą się odbywać według wszelkich wymagań etykiety. Nic więc dziwnego, że byli oni oburzeni na Churchilla, który będąc w Moskwie w okresie nalotów niemieckich, zjawił się na obiad, wydany przez Stalina w swym „siren suit“. Jakiś Wielki Książę mógł to zrozumieć, nie można jednak tego wymagać od tych zaciekłych socjalistów.

W czasie bankietu Mołotow zawiadomił obecnych, że Sowiety rozpoczęły w dniu dzisiejszym ofensywę, skoordynowaną z anglo-amerykańską inwazją Normandii.

Wiadomość ta, zakomunikowana przez nas po bankiecie korespondentom zagranicznym, została zatrzymana przez cenzurę, przy czym jako powód tego zarządzenia podano, że nie ukazała się ona jeszcze w „Prawdzie“. Według cenzury sowieckiej tylko to, co się ukazuje w miejscowej prasie, posiada znaczenie oficjalnie stwierdzonej prawdy.

Na następnym z kolei bankiecie, wydanym przez jednego z leningradzkich dygnitarzy partyjnych Popkowa, wywiązała się ciekawa dyskusja na temat wolności prasy.

Zainicjował ją Popkow oświadczając, że nie może mu się pomieścić w głowie, dlaczego Ameryka, będąca aliantem Rosji, toleruje u siebie faszystowską prasę. A że prasa którą ma na myśli, jest wyraźnie faszystowska, dowodzi najlepiej fakt, że pozwala sobie na częstą krytykę Sowietów. Jak my możemy pozwolić na krytykowanie w naszym kraju Rosji i jej wodza?

Odpowiedziałem mu, że dzieje się to, ponieważ Ameryka jako wolny kraj, posiada wolną prasę. I chociaż większość z nas podtrzymuje prezydenta i uznaje zasługi Rosji, wszyscy wypowiedzielibyśmy walkę każdemu, kto by spróbował nałożyć kaganiec na prawo ich krytykowania. Uważamy bowiem, że kraj w którym prawo krytyki nie istnieje, nie jest wolnym krajem.

Rezultat mojej wypowiedzi był ciekawy. Niektórzy, ze znajdujących się przy stole kompanów Popkowa byli w wieku pięćdziesięciu, a nawet sześćdziesięciu lat i pamiętali dawne czasy. Otóż, wszyscy oni słuchali mnie uśmiechając

się i potakując głowami. Jeden z nich przygotował się nawet do przykłaśnięcia mym wywodom, spojrzął jednak na Popkowa i zrezygnował ze swego zamiaru.

Oświadczenie moje uzupełnił O'Hara stwierdzeniem, że w wolnych krajach istnieje swoboda krytykowania przyjaściół. Amerykanie krytykują od 1939 Brytyjczyków, nie widzą więc powodów, dla których nie mieliby krytykować Rosjan.

W końcu zabrał głos Johnston, gładko dając sobie radę ze wszystkim, z wolnością prasy, Rosją, Anglią i nawet z samym Popkowem, który był trochę zaskoczony całą sprawą.

Po przemówieniu jednak Johnstona oświadczył, że ta swoboda krytyki jest wielce ciekawą rzeczą, wyrażając przy tym nadzieję, że nie wzięliśmy mu za złe, że sam wykorzystał ten amerykański przywilej dla krytykowania Ameryki.

---

## **ŚWIECA WRÓŻEBNA** *(Przedruk z P.A.P. Światłopol.)*

---

W Wielkim tygodniu, pośród wielu nabożeństw, jedno wydaje mi się być najbardziej ponure: ciemna jutrznia. W miarę śpiewania psalmów pokutnych, gaśnie jedna świeca po drugiej i następuje mrok coraz, coraz gęstszy.

Nasza, polska ciemna jutrznia trwa od sześciu lat i co roku zdaje się gasnąć przed naszymi oczyma jedna świeca. Ciemność zapada gruba i w tej ciemności droga powrotu do Polski oddala się od nas. Szósta Wielkanoc poza domem! I dom nasz w ruinach! I na tych ruinach obcy! Ciemno, straszliwie ciemno!

Gdy tak gasną świeca po świecy, myśl pracuje z uporem, wzrok wpija się w ciemności, aby przecieź dostrzec, choćby dalekie nawet, bardzo dalekie światło. Widzę je: to płonie świeca olbrzymia, płonie w Warszawie, w katedrze Św. Jana. Blask pada od niej tak wielki, że zaczyna się coś w duszy rozjaśniać.

W drugiej połowie minionego stulecia na stolicę Piotrową wstąpił papież Pius IX, który miał dar jasnowidzenia. Przybyli do niego przedstawiciele duchowieństwa z Warszawy i papież wręczył im świecę dla katedry św. Jana. Była to świeca ozdobna i wielka, jednakże księża nasi nie umieli ukryć pewnego rozczarowania. Spodziewali się widać czegoś innego. Papież patrzył na nich długo w milczeniu

i wreszcie rzekł: „Zapalicie tę świecę przy śpiewie „Te Deum“ w wolnej Warszawie!

Powiedział te słowa w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia, więc na pół wieku przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę, która była wtedy rozdarta na trzy części.

Prorocze słowa, wróżebna świeca! W 1920 roku pierwszy Marszałek Sejmu zapalił tę świecę w katedrze, której stare mury zadrgały od śpiewu „Te Deum“. Dzisiaj, nam wszystkim świeci ona i w jej blasku widzimy Warszawę, miasto przedziwne, stolicę Ducha. Myśl pracuje dalej i pracuje pamięć, już przy blasku tej wróżebnej świecy, dlatego fakty kojarzą się łatwiej i prędzej, dlatego wzrok nasz przebiega przestrzeń od katedry św. Jana, poprzez ruiny miasta i zatrzymuje się daleko w parku Łazienkowskim, u progu pałacu, o którego ściany w ciągu lat niespełna stu obity się trzy przemówienia.

Car Mikołaj w 1835 roku rzekł do delegacji polskiej te słowa: „Jeśli będziecie trwali uparcie przy waszych szalonych marzeniach, przy tym, żeby być narodem wolnym i mieć Polskę niepodległą, ściągniecie na siebie straszliwe nieszczęścia. Zbudowałem cytadelę i oświadczam wam, że przy najmniejszej próbie buntu zbombarduję miasto. Zburzę Warszawę i z pewnością nie ją odbuduję“!

Rok 1835. Mija kilkadziesiąt lat i następca Mikołaja I, car Aleksander II, w tymże samym pałacu Łazienkowskim zaczyna swą mowę historyczną słowami: „Żadnych marzeń pańowie“!... Istotnie, marzenie o niepodległości musiało się wtedy wydawać szaleństwem, lecz nie brakło szaleńców, którzy marzyć i walczyć nie przestali nawet na chwilę najkrótszą.

Rok 1920. Po raz pierwszy od chwili odzyskania niepodległości korpus dyplomatyczny zbiera się w pałacu Łazienkowskim, by złożyć życzenia noworoczne Głowie Odrodzonej Rzeczypospolitej. W imieniu wszystkich dyplomatów przemawia nuncjusz papieski, ks. Ratti, późniejszy papież Pius XI. Witając powrót Polski do grona wolnych narodów, nuncjusz przypomina próżne groźby dwóch z kolei carów rosyjskich, z których Aleksander II zginął zamordowany...

Dziwne koleje: ta świeca wróżebna, która czeka przez pół wieku na to, by ją zapalił marszałek Sejmu Polskiego i te trzy kolejne mowy w tym samym pałacu! Rzeczywistość nasza dzisiejsza, tak tragiczna rzeczywistość, zdaje się powta-

---



---

rzać słowa Aleksandra II, ale od tych słów mocniejsze i bardziej głośne słowa Piusa IX-go. „Zapalicie tę świecę przy śpiewie „Te Deum“ w wolnej Warszawie“!

Nie przestaniemy ani na chwilę najkrótszą marzyć i nie przestaniemy walczyć, chociaż mrok spowija przyszłość przed nami. Na przekór carom, czy ich następcom mówimy, że trwamy przy naszych marzeniach, że chcemy mieć Polskę wolną, całą i niepodległą, że nie odwiódą nas od tych marzeń żadne groźby. Lecz marzenie nasze nie jest marzeniem ludzi szalonych. Przeciwnie — ono jest trzeźwe i pełne woli, natomiast szaleństwem jest myśl, by dało się Polskę, a z Polską pół Europy, lub nawet całą Europę zakuć w kajdany niewoli.

Ciemna jutrznia jest tylko częścią Wielkiego Tygodnia, który kończy się pieśnią Zmartwychwstania.

Z. Nowakowski.

---



---

## GRECJA JUGOSŁAWIA I POLSKA

---



---

Dalszy ciąg artykułu redaktora Voigta wydrukowanego w lutowym numerze miesięcznika *Nineteenth Century and After*.

Jugosłowiańscy partyzanci osiągnęli to, czego nie udało się osiągnąć greckim partyzantom. Są oni panami „wyzwolonej“ Jugosławii. Belgrad od września 1944 znajduje się w ich rękach. Straszliwy terror, jaki zapanował w stolicy po wkroczeniu do niej partyzantów spowodował wybuch powstania ludności, której udało się wypędzić ich z miasta. W trzy dni później jednak partyzanci wrócili i przy pomocy Rosjan zajęli stolicę ponownie. Nastąpiła rzeź i rządy terroru zostały przywrócone. Dziś terror szaleje wszędzie, gdzie rządzi Tito i jego partyzanci.

W dniu 18 stycznia oświadczył p. Churchill w Izbie Gmin, że marszałek Tito „jest dziś niezaprzeczenie całkowitym panem Jugosławii“. A jednak reprezentuje on tylko znikomą mniejszość narodu.

Zawdzięcza on swą obecną pozycję w większym nawet stopniu W. Brytanii, aniżeli Rosji. Brytyjska to bowiem broń i amunicja i brytyjska propaganda umożliwiły mu podbicie swego własnego kraju, który odrzuca jego poglądy polityczne i nienawidzi go, jako wyjątkowo nieludzkiego uzurpatora, tyraha i kata. Nienawiść do niego jest tak silna

i powszechna, że trudno uwierzyć, aby mógł się on długo utrzymać przy władzy. Później czy wcześniej naród powstanie przeciwko znieprawidzonemu tyranowi i jego partyzantom i zmiecie ich z oblicza ziemi, o ile znowu pomoc z zewnątrz ich nie uratuje. Dziś w Jugosławii wycina się w pień głowy chłopskich i ziemiańskich rodzin. Elita serbska jest tępniona systematycznie. Masa ludzi szuka schronienia w górach, ginąc tam z głodu i chłodu. Zamiast normalnych sądów, utworzone zostały terrorystyczne trybunały, które skazują na śmierć lub zsyłają do obozów koncentracyjnych wszystkich, a w szczególności Serbów, podejrzanych o patriotyzm. Obóz koncentracyjny koło Banitsa, założony przez Gestapo dla Czetników, t.zn. jugosłowiańskich patriotów, walczących pod dowództwem generała Michajłowicza, jest ponownie zapełniony tymi że samymi Czetnikami.

Partyzanci jugosłowiańscy, jak i greccy, z chwilą opanowania ich przez komunistów, przyjęli znaną komunistyczną zasadę przeistaczania wojny międzynarodowej na wojnę domową. Broń której się partyzanci domagali, użyta została nie tyle przeciwko Niemcom, ile przeciw Czetnikom, będącym przykładem serbskiego patriotyzmu. Chłopom serbskim, kroackim i słowackim, związkowi zawodowemu, kooperatywowi i całemu porządkowi społecznemu tłumaczy się, że partyzanci zwalczają „klikę wojskową“ i „biurokratów z Belgradu“.

Prawdą jest, że partyzanci walczyli z Niemcami. Wojna ta jednak miała dla nich charakter drugorzędny — na pierwszym planie stała zawsze wojna domowa.

22 lutego 1944 r. oświadczył p. Churchill w Izbie Gmin, że jesienią 1941 roku wojska Tito „wplątały się niestety w nieunikniony konflikt z wojskami generała Michajłowicza“.

20 czerwca tegoż roku, premier oświadczył, że „niektórzy z dowódców, podległych generałowi Michajłowiczowi, zamiast walczyć z Niemcami, skierowali swe wysiłki przeciw partyzantom“.

Tito sam przyznał, że partyzanci pierwsi zaatakowali Czetników. Obecnie generał Velebit, który odwiedził Londyn jako osobisty wysłannik Tito i zasłużył sobie na pochlebny opinię p. Churchilla, informuje nas, że „walka z tymi elementami (t.j. żołnierzami Michajłowicza), była dla narodów jugosłowiańskich tak samo konieczna, jak walka z najeźdźcą“.



Poniższych parę przykładów najlepiej ilustruje sytuację: pod koniec października 1942 Czetnicy oblegali miasto Sokolats, bronione przez 500 Niemców i 100 „Ustaszy“ (oddziały kroackie terrorysty Ante Pawelicza). W czasie trwania oblężenia partyzanci napadli na Czetników z tyłu, w wyniku czego oblężony garnizon potrafił się wydostać z matni.

W październiku 1941 Czetnicy i partyzanci prowadzili wspólnie operacje przeciw Niemcom i Ustaszy pod Czacakiem. Jednego dnia partyzanci wycofali się samowolnie z walki. Po skończonej walce partyzanci wrócili i wymordowali osiemdziesięciu pozostawionych przez Czetników rannych.

Aż do czasu konferencji teherańskiej, posiadał generał Michajłowicz przynajmniej moralne poparcie W. Brytanii. Znajdował się on wówczas pod rozkazami generała Maitland Wilsona. Instrukcje jakie posiadał, nakazywały mu nie narażać ludzi bez potrzeby i oszczędzać amunicję. W. Brytania nie dostarczała mu prawie broni, mógł więc on atakować nieprzyjaciela tylko wówczas, jeżeli przynosiło to istotnie poważne korzyści.

Na wiosnę 1943 Niemcy, Bułgarzy i Ustaszy, przedsięwzięły wspólne operacje przeciw Michajłowiczowi, jednak bez powodzenia. Robił on wszystko co mógł, żeby nie ściągać na ludność odwetu, oznaczającego śmierć setek zakładników i zrównanie z ziemią całych wsi. Przygotowywał się on zgodnie ze swym własnym przekonaniem i otrzymanymi instrukcjami na moment, kiedy alianci wkroczą do Jugosławii, a on sam stanie na czele powstania narodowego. Nie były to płonne marzenia. Gdyby generał Michajłowicz otrzymał choć połowę pomocy i drobną część zachęty, udzielonych Tito, nie byłoby już dziś Niemców w Jugosławii.

Po konferencji Teherańskiej strategia sprzymierzonych mocarstw uległa zmianie. Zdecydowano dokonać inwazji Europy od zachodu, a nie na Bałkanach, w błędnym przekonaniu, że partyzantka wystarczy dla poważnego zagrożenia tam Niemców, zarzucono prowadzoną dotychczas ostrożną i przewidującą strategię. Rozpętano dziką walkę partyzantów.

Oznaczało to straszliwe straty nie dla partyzantów, lecz dla cywilnej ludności, a w rezultacie mało przyczyniło szkód Niemcom. Generał Michajłowicz nie chciał zimieniać swej taktyki i angażować się w tego rodzaju bezcelową i nieludzką walkę.

Naraziło go to na oskarżenie, że „zaniechał walki“.

Został uznany za „zdrajcę“ i obrzucony błotem w oszczerzej kampanii, w której wstrętą rolę odegrało B.B.C. P. Churchill nie poniżył się aż do tego stopnia, oświadczył jednak w dniu 22 lutego, że niektórzy z dowódców generała Michajłowicza weszli w porozumienie z nieprzyjacielem.

Pewnym jest, że Michajłowicz porozumiał się z Włochami w celu uzyskania od nich tak bardzo mu potrzebnej broni i amunicji dla kontynuowania walki z Niemcami. Nie wiemy o żadnych wypadkach porozumienia jego dowódców z Niemcami i p. Churchill nie poparł swego oświadczenia żadnym przykładem. Natomiast znane nam są fakty, porozumiewania się z nieprzyjacielem dowódców Tito. 3 lipca 1944 podpisali partyzanci pod Goricą zawieszenie broni z Niemcami, na podstawie którego zobowiązali się do niezbliżania się na odległość 10 km. do niemieckiego garnizonu. Niemcy wzamian zgodzili się na trzymanie się w tej samej odległości od pozycji partyzanckich i dopuszczanie do tych ostatnich broni i środków leczniczych. Nie wdajemy się w krytykę tej decyzji dowódców partyzanckich. Możemy sobie jednak wyobrazić, jak wielki rozgłos nadanoby temu „porozumieniu“, gdyby zostało ono zawarte przez generała Michajłowicza.

Partyzanci stale denuncjowali Czetników przed Niemcami. Ruch partyzancki stał się bezpiecznym schronieniem dla ludzi, bojących się stanięcia przed sądem w charakterze „przestępców wojennych“. Obecny rząd jugosłowiański w Londynie, służący wyłącznie celom Tito, składa się z posłusznych figurantów. Minister wojny Bisticz był swego czasu internowany przez Niemców w Jugosławii i został zwolniony po złożeniu przyrzeczenia, że „będzie zajmował w stosunku do nich pewne określone stanowisko“.

Cały brud, jakim przez rok przeszło obrzucano Michajłowicza, nie pozostawił na nim najmniejszej nawet plamy. Ani jeden ze stawianych mu zarzutów nie został udowodniony. Pozostał on tym, czym był zawsze: człowiekiem o wyjątkowo wielkiej odwadze i niezłomnym przekonaniu, przy czym patriotą o nieskalanym honorze.

Tito nie walczy dziś poważnie z Niemcami, ma bowiem co innego do roboty. Chwalił się on kiedyś, że rozporządza trzystutysięczną armią. Co robią dziś ci wszyscy żołnierze

---

---

uzbrojeni i zaopatrzeni w amunicję przez W. Brytanię?

A co robi Michajłowicz, któremu od lat brakowało broni i amunicji, dostarczanej mu w minimalnych ilościach przez W. Brytanię, dopływ której ustał zupełnie dawno już temu?

Następujący przykład powinien wystarczyć dla wyjaśnienia jego sytuacji.

We wrześniu 1944 r. oddział Czetników pod dowództwem pułkownika Keserowicza nawiązał kontakt z dowódcą zbliżającego się oddziału rosyjskiego i za zgodą tego ostatniego zaatakował bronione silnie przez Niemców miasto Krusewacz. Bitwa trwała dwa dni. Straty były ciężkie. Niemcy zostali pobici i garnizon miasta, składający się z siedmiu tysięcy ludzi, został częściowo wzięty do niewoli. Zniszczono i zdobyto trzynaście czołgów.

Generał Michajłowicz zwrócił się do dowódcy rosyjskiego z propozycją obsadzenia miasta przez jego żołnierzy i przygotował przyjęcie na jego część. Dowódca tę propozycję przyjął, zauważywszy jednak na rękawie munduru pułkownika Keserowicza monogram jugosłowiańskiej rodziny królewskiej, zażądał usunięcia go i zastąpienia przez czerwoną gwiazdę. Następnie zarządził zbiórkę Czetników i zażądał złożenia broni. Pułkownik Keserowicz wobec tego wydał rozkaz swym ludziom opuszczenia miasta i wycofania się z bronią w kierunku m. Jastrzembacza.

---

---

## **ROSJA I TURCJA A PRZYSZŁY POKÓJ**

---

---

Rosja wypowiedziała traktat przyjaźni z Turcją. B.B.C. ogłosiła bez komentarzy i skromniutko światu tę nowinę. Czyżby rzeczywiście była ona tak mało znacząca? Czyżby za tym faktem nie kryły się dalsze plany i intencje?

Na razie możemy tylko się domyślać i zestawiać fakty. Rosja czuje się dostatecznie silna, ażeby móc pozwolić sobie na prowadzenie zupełnie niezależnej polityki. Rosja, posuwając się coraz bardziej w głąb Europy, jednocześnie wysuwa coraz to nowe żądania.

Na konferencji w Jałcie usunięto niebezpieczeństwo utworzenia marionetkowego rządu dla Niemiec pod auspicjami Moskwy, za co poświęcono interesy Polski. Lecz na tejsze konferencji zarysowała się widocznie dalsza linia tradycyjnej polityki rosyjskiej, dążącej od dziesiątków lat do opanowania cieśnin Dardanelskich.

Dlatego to premier Churchill przeprowadził bardzo poważne rozmowy w Kairze z politykami tureckimi i z panującymi arabskimi. Dlatego Turcja teoretycznie przystąpiła do wojny z Niemcami, a jednocześnie zarysowały się możliwości zjednoczenia państw arabskich.

Anglia, pragnąc uprzędzić dalsze posunięcia Rosji, zaczyna działać. Wkroczenie Rosji na Morze Śródziemne, to bezpośrednie zagrożenie interesów brytyjskich, to możliwości ekspansji i opanowania Bliskiego Wschodu, to wreszcie zagrożenie kanału Suezkiego, co mogłoby zagrozić bytowi całego Imperium.

Jednocześnie propaganda niemiecka się cieszy. Cieszy się że Rosja zaczyna uderzać już bezpośrednio w interesy brytyjskie. Hitler i Goebbels postarają się przekonać Niemców, że już w niedalekim czasie nadejdzie moment bezpośredniego starcia brytyjsko-rosyjskiego. Będą błagać i grozić ażeby Niemcy się bronili, gdyż czas pracuje dla nich. I wiele jeszcze krwi anglosaskiej zostanie przelanej, a to głównie z powodu polityki Rosji, zaskakującej z jednej strony jej sprzymierzeńców, a z drugiej usztywniającej obronę Niemców. Z powyższego widzimy jednak, w jakim stopniu ząbienia się polityka światowa. Widzimy też jak szybko zaczyna się mścić polityka ustępstw za wszelką cenę, nawet na cudzy rachunek. Nauka, otrzymana w Monachium nie wystarczyła. Potrzebną jest jeszcze mocniejsza lekcja, ażeby Anglosasi wreszcie zrozumieli, że wilka nie da się nasycić jednym baranem. Przychodzi jutro i wilk ponownie szczyrzy zęby.

Nie tędy prowadzi droga do przyszłego życia w dobrobycie i pokoju. Uległość wobec żądań wzmagają tylko apetyty żądającego. Na siłę musi się znaleźć siła. Jeżeli tej siły nie ma dzisiaj, tym bardziej nie będzie jej za kilka lat, albowiem znowu może się ona rozpieczęścić we mgle wiary w ideały ludzkości, nie mogące zrozumieć brutalnego łamania umów i traktatów. Jeżeli Wielkie Demokracje nie potrafią uzgodnić swych posunięć teraz i prowadzić polityki zdecydowanej przeciwko jawnym dążeniom opanowania choćby połowy Europy, to niewiadomo czy w przyszłości potrafią obronić jej resztę.

Polityka Rosji jest jasna: na północy granice na Odrze, a reszta Rzeszy pod silnymi wpływami komunizmu — na południu Adriatyk i Morze Egejskie. Marzenia Katarzyny Wielkiej i jej spadkobierców zaczynają przybierać konkretne kształty.